

A. CONAN DOYLE.

# Sprawozdanie Johna Habakuka Jephsona.

3 (Przekład z angielskiego).

Jeden z naszych białych marynarzy schodził do komory na tyle okrętu, aby przynieść zwój lin, kiedy drzwi, które podniósł, runęły z trzaskiem na niego. Ocalał, uskokczywszy na bok, lecz jedna z jego nóg uległa straszemu okaleczeniu tak, że będziemy z niego mieli małą pociechę w dalszej podróży. Przypisuje on wypadek nieuwadze swego czarnego towarzysza, który pomagał mu podnosić drzwi. Ten zaś składa winę na kołysanie się statku. Jakkolwiek się sprawa ma nasza szczupła załoga została jeszcze bardziej zredukowana. Ten szereg następujących po sobie nieszczęśliwych wypadków wpływa na Harona deprimująco, stracił bowiem zwyczajny swój humor i jowialność. Goring jest jedyną osobą, która zachowała swobodę obejścia. Widzę go wciąż, pracującego nad kartą w jego gabinecie. Jego wiadomości żeglarskie mogłyby się przydać w razie, gdyby cośkolwiek przytrafiło się Hysonowi — co zachowaj Boże!

29-go, 30-go października.

Płyniemy wciąż z wiatrem. Wszystko spokojnie i nic ciekawego do zanotowania.

31 ego października.

Moja choroba płuc w związku z pełnemi emocjami wydarzeniami podróży nadszarzała tak bardzo mój system nerwowy, że najmniejsza nawet drobnostka wpływa na mnie podniecająco. Zaledwie mogę wierzyć, że jestem tym samym człowiekiem, który przeprowadzał podwiązanie zewnętrznej arterji udowej, opera ją wymagająca nadzwyczajnej precyzji, w ogniu karabinowym pod Anietamem. Jestem tak zdeprawowany, jak dziecko. Ubiegłej nocy około czwartej nad ranem, drzemałem, usiłując napróżno zasnąć zdrowym snem. W kabinie mej było ciemno, ale promień księżycowego światła wpadał przez okienko kajuty, znacząc na drzwiach srebrzysty, ruchliwy krąg. Kiedy leżałem tak patrząc na ów krąg sennemi oczyma i czując, że stopniowo wpadam w stan odrętwienia, ocknąłem się nagle, spostrzegłszy w obrębie świetlistego koła jakiś duży, ciemny przedmiot. Leżałem cicho i obserwowałem go, wstrzymując oddech. Stopniowo przedmiot stawał się większym i pojemniejszym i wtedy spostrzegłem, że jest to ludzka ręka, wprowadzona ostrożnie przez szparę w nieodkrytych drzwiach, ręka, która, jak stwierdziłem ku ogromnemu memu przerażeniu, nie miała palców. Drzwi otwarły się bez szelestu i głowa Goringa zjawiała się poza ręką. Ukazała się w kręgu księżycowego światła, obwiedziona jakgdyby brzeżkiem, który wobec ostrego zaznaczania się rysów, nadawał jej wygląd widmowy. Zdało się, że nigdy dotąd nie widziałem podobnie srogiego i okrutnego wyrazu na twarzy człowieka. Oczy jego, szeroko rozwarłe, świeciły w ciemności, rozchylone wargi odsłaniały białe kły a jego skrócone ciemne włosy zdawały się piętrzyć nad niskim czołem, jakby kaptur kobry. To nagle i tajemnicze zjawienie się wywarło na mnie tak silne wrażenie, że zerwałem się na równe nogi, dżąc na całym cieple i wyciągając rękę po rewolwer. Byłem szczerze zawstydzony mą porywczością, skoro wyjawiał mi powód swego przybycia, co natychmiast w grzeczny sposób uczynił. Cierpiał biedak na ogromny ból zębów i przyszedł prosić o małą dawkę laudanum, wiedząc, że jestem w posiadaniu podręcznej apteczki. Co do jego nieprzyjaznego wyrazu twarzy, to rzeczywiście nigdy nie był pięknością, a stan obecny moich nerwów i zjawienie się jego przy świetle księżyca mogły mi łatwo podsunąć jakąś myśl okropną. Dałem mu dwadzieścia kropli; pożegnał mnie, nie szczędząc wyrazów wdzięczności. Trudno mi pojąć, po prostu, jak bardzo to trywialne zdarzenie wstrząsnęło moim organizmem. Byłem przez dzień cały jakby ścięty z nóg.

Nie umieszczam tu sprawozdania z naszej podróży w ciągu ubiegłego tygodnia, nie zdarzyło się bowiem nic ciekawego w tym czasie a notatnik mój zawiera zaledwie kilka stron nie znaczącej bazgraniny.

7-go listopada.

Spędziłem z Haronem cały ranek na tyle okrętu, posunęliśmy się bowiem bardziej na południe i jest ciepło. Leczmy, że dwie trzecie naszej podróży już przebyte. Z jakąś radością powitamy zielone pobraża Tagi i rzucimy ten nieszczęsny statek na zawsze. Usiłowałem rozzerwać dziś Harona i dla zabicia czasu ożwiadałem mu coś nie coś z przeżytych wrażeń. Między innymi przedstawiłem mu, w jaki sposób stałem się właścicielem czarnego kamienia a na zakończenie sięgnąłem do bocznej kieszeni mej starej strzeleckiej bluzy i dobyłem z niej opisany przedmiot. Nachylił się obaj nad nim, podczas gdy zwracałem jego uwagę na ciekawe bruzdy na powierzchni kamienia, kiedy nagle ktoś stanął za naszymi plecami; oglądniawszy się, ujrzeliśmy Goringa, który patrzył na kamień. Zdawał się być wielce podniecony, jakkolwiek starał się usilnie opanować i pokryć wzruszenie. Wskazał raz czy dwa razy kikutem swej ręki na mą relikwię, zanim uczuł się dostatecznie na siłach zapytać, co to takiego i skąd to wzięłem — pytanie postawione w tak bezceremonialny sposób, że obraziłbym się na pewno, gdybym nie znał jego dziwacznych manier. Opowiedziałem mu dokładnie swą przygodę, jak opowiedziałem ją pierwsi Haronowi. Słuchał mnie z głęboką uwagą, a potem spytał, czy zdaje sobie sprawę, czym może być ów kamień. Odpowiedziałem, że wydaje mi się meteorytem, lecz, że ponad to nic o nim nie wiem. Zapytał, czy próbowałem kiedyś pokazać go murzynowi. Zaprzeczyłem.

— Chodź pan — rzekł do mnie — zobaczmy, co o tem powie nasz czarny przyjaciel przy sterze. — Wziął kamień w rękę, podszedł do czarnego majtka i obaj zaczęliśmy mu się bacznie przyglądać. Widziałem gesty tego człowieka i gwałtowne poruszenia głową, jakby wyrazić chciał jakieś przypuszczenie, podczas gdy twarz jego zdradzała najwyższe zdumienie, zmieszane, jak mi się zdawało, z głęboką czcią. Goring podszedł do nas, wciąż trzymając kamień w ręku.

— Mówi, że to rzecz bez wartości i użytku — rzekł — godna jedynie wyrzucenia w morze.

Mówiąc to wznosił rękę i skończyłby bez wątpienia raz na zawsze z mą relikwią, gdyby nie czarny marynarz, który się rzucił ku niemu i chwycił jego dłoń. Czując się unieruchomionym Goring upuścił kamień i odwrócił się niechętnie, unikając mych gniewnych wymówek z powodu nadużycia zaufania. Czarny podniósł kamień i wręczył mi go z niskim ukłonem, wśród oznak głębokiego szacunku. Cała ta sprawa jest mi zagadką. Przyszedłem ostatecznie do przekonania, że Goring jest niespełna zmysłów lub, że mu niewiele do tego brakuje. Kiedy porównam wrażenia, jakiego doznał majtek na widok kamienia z czcią, okazywaną Marcie na plantacji i zdumieniem, którego nie umiał ukryć Goring na pierwszy rzut oka, muszę przyjąć do wniosku, że jestem w posiadaniu jakiegoś potężnego talizmanu, który uznaje cała czarna rasa. W każdym razie nie oddam go raz drugi w ręce Goringa.

8-go i 9-go listopada.

Co za śliczna pogoda! Poza jedną małą burzą, mamy pomyślny wiatr przez cały czas podróży. W ostatnich dwóch dniach zrobiliśmy śliczny szmal drogi. Ładny to widok patrzeć, jak przód okrętu pruje spienione fale. Promienie słońca przenikają je i załamują się wśród wody, tworząc szereg miniaturowych łuków tęczy, które marynarze zowią „psiatkami słonecznymi”. Stałem dziś przez kilka godzin u stóp przedniego masztu, obserwując to zjawisko otoczony kręgiem różnorodnych promieni. Słonecznik opowiadał widokom innym czarnym marynarzom o moim cudownym kamieniu, traktując mnie bowiem wszyscy z największym respektem. Jeśli już mowa o ciekawych zjawiskach optycznych, to wczoraj wieczór Hyson zwrócił mi na jedno uwagę. Była to zjawka trójkątnego, ściśle określonego przedmiotu na tle niebios przed nami. Wyjaśniał mi, że przypomina mu ona szczyt Teneryfy, widziany z wielkiej odległości — szczyt, który w tym czasie musiał być od nas oddalony przynajmniej o 500 mil na południe. Zapewne była to chmura, lub cień odbitego przedmiotu, o których się często czyta. Jest bardzo gorąco. Pomocnik kapitana mówi, że nigdy nie spotkał się z podobnymi upałami na tych szerokościach. Wieczorem grałem w szachy z Hysonem.

10-go listopada.

Jest coraz goręcej. Przyleciało szereg p'a-ków lądowych i obsiadło reje okrętowe, jakkolwiek jesteśmy jeszcze bardzo od celu podróży. Upał jest tak wielki, że nie mamy ochoty do żadnej roboty, lecz wólczy się po pokładzie, paląc tytoń. Goring przyszedł dziś do mnie i pytał znowu o kamień. Odpowiedziałem jednak krótko, nie przebaczyłem mu bowiem jeszcze dotąd tej zimnej krwi, z jaką usiłował mnie jego pozbawić.

11-go i 12-go listopada.

Jedziemy wciąż naprzód. Nie miałem pojęcia, że w Portugalji panują tak straszne upały, bezwątpienia jednak w głębi kraju musi być chłodniej. Nawet Hyson zdaje się dziwić równie jak i reszta załogi.

13-go listopada.

Zdarzył się wypadek niezwykły, tak niezwykły, że go wprost nie można wytłumaczyć. Albo Hyson popełnił dziwny błąd, albo jakiś wpływ magnetyczny popsuł nam instrumenty miernicze. Prawie ze świtem straż przy przednim maszcie oznajmiła okrzykiem, że słyszy łamanie się fal, a sam Hyson sądził, że widzi ziemię. Statek wykonał zwrot i chociaż nie było widać żadnych świateł nikt z nas nie wątpił, że dobiłmy do portugalskich wybrzeży nieco prędzej, niż się spodziewano. Jakież było jednak nasze zdziwienie na widok krajobrazu, który rozpostarł się przed naszymi oczyma z brzaskiem dnia. Jak daleko wzrok sięgał, w obie strony, ciągnęła się długa linja łamiących się o brzeg fal, wielkich zielonych bałwanów, uderzających i rozpryskujących się w chmurach piany. A za tą linją? Nie zielone wybrzeża, ani wysokie skały Portugalji, lecz wielka, piaszczysta równina, rozciągająca się daleko, daleko i zlewająca z widnokręgiem. Z prawej i lewej strony, gdziekolwiek spojrzeliśmy, jedynie żółty piasek, gromadzący się miejscami w fantastyczne wzgórza, z których pewna liczba dosięgała kilkuset stóp wysokości, podczas gdy w innych miejscach wznosiły się długie, puste przestrzenie tak poznaczające się jak siódmiobój. Wyszliśmy na pokład z Haronem i spojrzeli na siebie zdumieni; Haron wybuchnął śmiechem. Hyson jest nadzwyczajnie wypadkiem przejęty i twierdzi, że ktoś majstrował przy instrumentach. Nie ma wątpliwości, że przybyliśmy do wybrzeży Afryki i że to rzeczywiście szczyt Teneryfy ukazał się nam kilka dni temu na północnym horyzoncie. W czasie, kiedy widzieliśmy płaki lądowe, musieliśmy przejeżdżać około którejś z wysp kanaryjskich. Po uważając się dalej w tym kierunku znaleźliśmy się obecnie na północy od Cape Blanco, w pobliżu nieznanych okolic, które graniczą z wielką Pustynią. Wszystko, co nam pozostaje do zrobienia, to skorygować instrumenty, o ile to możliwe i ruszyć zaraz do celu podróży.

830 po południu.

Nie ruszyliśmy się z miejsca przez cały dzień. Wybrzeże oddalone jest teraz od nas o niespełna 1½ mili Hyson zbadał instrumenty lecz nie znalazł żadnej przyczyny błędnej ich niezwykle odchylenie.

Na tem kończy się mój prywatny dziennik; dalszy ciąg sprawozdania oprawiać muszę z pamięci. Nie przypuszczam, abym pomylił się co faktów, które wyryły się głęboko w mej duszy.

Nocy tej spadło na nas nieszczęście, które groziło już od tak dawna i nocy tej dowiedziałem się, co miał znaczyć szereg owych drobnych wypadków, które zebrałem bez żadnego związku. Jakież głupiec ze mnie, że nie zrozumiałem tego wcześniej. Opowiem wszystko dokładnie w miarę możliwości.

Zeszedłem do mej kabiny około wpół do 12 ej i chciałem udać się na spoczynek, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem je, ujrzawszy małego murzynka Goringa, który oznajmił, że jego pan pragnie pomówić ze mną na pokładzie. Byłem trochę zdziwiony, wezwaniem mnie o tak późnej godzinie, lecz wyszedłem bez wahania. Zaledwie znalazłem się na pokładzie uchwyciłem mnie z tyłu, rzucono na plecy i zawiązano usta chustką. Walczyłem jak mogłem, lecz skrepowano mnie silnie sznurami i przywiązano do jednej z łodzi bez siły i bez możliwości wydania z siebie głosu, przyczem ostrze noża oparłego o me gardło ostrzegano, abym zaprzestał oporu. Noc była tak ciemna, że nie mogłem dotąd dostrzec napastników, lecz skoro oczy me